



DWA LATA PÓŹNIEJ

Od pierwszego wydania tej książki minęły dwa lata. To wystarczająco dużo czasu, żeby życie dopisało optymistyczne zakończenie. Znajdziecie tu krótkie opowieści tych z Was, którzy postanowili coś zmienić w życiu swoich koni i którym się udało. Niech będą one przykładem, że przy odpowiedniej dozie determinacji jest to możliwe, i dokonują tego zwykli ludzie – w różny sposób i w najróżniejszych warunkach.



Moja droga

Pięć lat... Tyle minęło odkąd pierwszy raz chwyciłam za nóż i tarnik. Czemu właściwie zaczęłam strugać kopyta? Niewątpliwie miało to silny związek z moją pierwszą wizytą w Jarkowie, w mojej głowie rozszalała się wtedy prawdziwa burza, której efektem był natychmiastowy telefon do kowala i komunikat: „Proszę rozkuć i nie werkować mojego konia, zrobię to sama”.

Z perspektywy czasu myślę, że wszystko, co się wtedy działo, było mocno spontaniczne i niezbyt przemyślane. Zaczynając strugać kopyta, nie wiedziałam zbyt wiele o ich anatomii i fizjologii, nie rozumiałam też wtedy tego, że samo machanie tarnikiem nie jest w tym wszystkim najistotniejsze. Kurs w Rancho Stokrotka oraz przeczytanie kilku artykułów i blogów dotyczących naturalnej pielęgnacji pozwoliły poczuć się pewniej, ale w zetknięciu z żywym zwierzęciem pewność siebie szybko się ulatniała. Gdy pierwszy raz sama zrobiłam kopyta swojego konia, moje przekonanie, że zrobiłam to właściwie, było bliskie zeru, nie mówiąc już o przekonaniu wszystkich dookoła. Nie wdawałam się jednak w polityczki słowne (chyba że była to konstruktywna krytyka), robiłam swoje i szybko zyskałam pierwszych klientów – początkowo byli to znajomi, których kowale nie wywiązywali się z terminów, potem doszły do tego pierwsze konie, których właściciele celowo wybrali tę, a nie inną metodę. Już na samym początku swojej drogi naturalnego strugacza trafiłam na przypadki, które nie pasowały do poznanych schematów, przy których miałam tyle wątpliwości, że bałam się cokolwiek zrobić. Dla tych koni nie było jednak alternatywy – kulały pomimo ortopedycznych podków, jeden skazywany był nawet na eutanazję, a ich właściciele, a czasem także ich weterynarze, byli zdesperowani i chcieli spróbować czegoś nowego. Postanowiłam więc, że będę je strugać – na tyle, na ile umiałam. Z perspektywy czasu, dla koni okazało się to dobrą decyzją, a ja zdobyłam pierwsze umiejętności i zyskałam wiarę w siebie.

I tak minęły te początkowe lata. Okres pierwszych sukcesów, dumy,

ale też pierwszych błędów, porażek i frustracji. Okres, który - nie oszukujmy się - jest niczym. Co tak naprawdę można wiedzieć o skomplikowanym układzie, jakim jest koń, po pięciu latach machania tarnikiem? Te parę lat pozwala jednak na zebranie podstawowego doświadczenia, nabranie dystansu i skupienie się na tym, co rzeczywiście ważne w nieustającym procesie zdobywania wiedzy.

To, czego najbardziej mi na początku brakowało, to możliwości bezpośredniej nauki od kogoś bardziej doświadczonego, pięć lat temu naturalnych strugaczy było w kraju jak na lekarstwo. Z przyczyn logistycznych (rozsianie po całej Polsce) zazwyczaj konsultowaliśmy nasze przypadki, wysyłając sobie mejle ze zdjęciami kopyt oraz dyskutując na forach internetowych.

Obecnie mamy kilka wartościowych kursów, mamy też pierwsze osoby, które zajmują się naturalną pielęgnacją kopyt profesjonalnie – dzięki temu dzisiejsi adepci tego nurtu mogą uniknąć popełnienia wielu błędów. Sporo zmienia się też, jeśli chodzi o sposób, w jaki chowamy nasze konie. Niektórzy przestali wierzyć, że ich koń będzie zdrowy i szczęśliwy, wychodząc na trzy godziny na dwór i dostając dwa „plasterki” siana. Dzięki takim osobom w wielu pensjonatach podniósł się standard usług, a oferty mające nas zwabić coraz częściej zaczynają się od haseł: „całodzienne padokowanie, stały dostęp do siana i regularne sprzątanie boksów”. Mamy też coraz więcej stajni oferujących wychów bezstajenny. Trzeba pamiętać, że właściciele pensjonatów żyją z właścicielami koni – będą więc wychodzić naprzeciw ich potrzebom, jeśli ci przestaną ulegać, ilekroć ktoś im powie „naturalne struganie to idiotyzm, podkuj tę szkapę, skończ z tymi wysłodkami i przestań puszczać ją na padok, bo złapie kontuzję” (brzmi znajomo?). To właściciel konia jest klientem i to on decyduje się na daną usługę, bądź z niej rezygnuje, jeśli ta nie spełnia jego oczekiwań. Oczywiście, to nie zawsze jest takie proste, jak to opisuję, ale nie zmienia faktu, że każdy z nas odpowiada za swoje zwierzę i musi umieć powiedzieć „nie” w jego imieniu. I mówiąc z własnego doświadczenia – wiem, jak to jest zmienić stajnię z halą, zapleczem i dogodnym

dojazdem, na taką, do której nie ma się jak dostać i której największym luksusem jest szopa na sprzęt. A jednak nie zamieniłabym jej na żadną inną, bo ilekroć tam jeżdżę, widzę szczęśliwe, zdrowe konie i to przebija wszelkie niedogodności. Tych, do których ta wizja nie przemawia, mogę pocieszyć tym, że obecnie mamy już trochę stajni, w których można pogodzić wygodę jeźdźcy z takimi potrzebami koni, o jakich przeczytaliście w tej książce, a na pewno z czasem będzie ich coraz więcej.

Pięć lat to bardzo mało, ale i bardzo dużo. Był to dla mnie okres wielu zmian i wielu przemyśleń, okres zawarcia wielu wartościowych znajomości i poznania wielu wspaniałych zwierząt. To także czas, w którym po raz pierwszy zrozumiałam jak przygniatająca potrafi być presja społeczeństwa, szczególnie jeśli nie ma wkoło nikogo, kto by myślał podobnie. Łatwiej być bowiem jednym z dziwaków niż dziwakiem. Ale z presją można sobie poradzić - nie poprzez pychę, lecz też nie chowając głowy w piasek. Po prostu trzeba robić swoje i podchodzić do tego na tyle krytycznie, by nie zabrnąć w ślepy zaułek. I dla tych, którzy są się w stanie na to zdobyć, warto pisać książki i robić kursy.

Ania Guzowska, Wrocław





fot. Iwona Maciaszek

Chcesz – znajdziesz sposób

Przygodę z końmi zaczęliśmy z Agnieszką w końcu lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia w KKJK i AKJ w Krakowie, ja nawet zaliczyłem kurs podkuwacza u mistrza Żaka w SO Klikowa. Potem było 17 lat poza siodłem aż do lata 2008, kiedy znajoma umieściła u nas dwa ogiery, początkowo w stajni; wkrótce zapadła decyzja o utrzymaniu bezstajennym. Kopyta (niekute) strugał wskazany przez właścicielkę koni kowal. Tenże sam kowal strugał następców ogierów - nasze własne koniki polskie. Pojawiły się różnice zdań (szczególnie na temat płaskich kopyt jednego z KP) pomiędzy naszą końską guru a kowalem, była nawet sugestia podkucia Maxa na przednie nogi. Od zawsze uważaliśmy kucie za zło konieczne, kupiliśmy więc konikom buty na przednie nogi i w ten sposób kamyki na drodze przestały być dyskomfortem. Agnieszka zaczęła przeszukiwać fora werkowaczek w poszukiwaniu KOPYTOWEJ PRAWDY, a potem



fot. Iwona Maciaszek

sama postanowiła strugać kopyta. W tej sytuacji warsztaty w Stokrotce (gdzie wytłumaczają, odpowiadają i dadzą spróbować strugania) wydawały się właściwą drogą do uzyskania odpowiedzi, nauki i poszerzenia wiedzy.

Zapomnieliśmy, że wiedza boli...

Przede wszystkim boli to, że znaczną część wiedzy przekazywanej przez Kubę powinniśmy osiąść sami, wystarczyło pomyśleć, poczytać, nie trzymać się ślepo tradycji. W zasadzie każdy wie, że kopyto jest WYNIKIEM tego, co koń robi i co je – więc czemu nie wyciągamy wniosków, czemu nie zaczynamy od przyczyn – skupiając się na objawach? Dlaczego byłem lekko zdziwiony, że na temat strugania kopyt Kuba poświęcił nie więcej jak 1/3 warsztatów? W książce proporcje są podobne.

W każdym dniu warsztatów Kuba powtarzał, że sens zdobywania tej wiedzy polega na jej zastosowaniu w praktyce. To też uwierało, bo „chcesz – znajdziesz sposób, nie chcesz – znajdziesz powód”, więc wiadomo było, że trzeba będzie wprowadzić zmiany (czasami trudne i bolesne).

Co zrobiliśmy po powrocie?

Dwa koniki polskie mają ogrodzony ok. 1 ha paddock paradise z wiatą i wanną (w roli poidła) oraz 2-3 ha dzierzawionych pastwisk.



fot. Anna Huppert



Teren głównie lessowy - czyli jak namoknie jest gliniastym rozdeptanym przez konie błotkiem, jak wyschnie staje twardy jak skała. Na paddocku pasie się jeszcze kilkanaście świnek wietnamskich, więc nawet na wiosnę trawa jest systematycznie przygryzana i nie udaje się jej nigdy osiągnąć więcej niż 5-7 cm.

Zaczęliśmy od najprostszego - wyprowadzania koni na pastwisko na noc. I tu pierwsze zaskoczenie: koń Max (ten z płaskimi kopytami), który w trakcie przeprowadzania na/z pastwiska po drodze bitej z wystającymi kamieniami bardzo chciał zbaczać na trawiaste pobocze, po kilku dniach przestał tak zdecydowanie ciągnąć na trawę z drogi. Lekko to nami wstrząsnęło, nie spodziewaliśmy się aż tak szybkiego rezultatu.

Następnie wytyczyliśmy paddock paradise - dużą pętlę naokoło i w środku ślimakowaty „labirynt” (bez ślepych uliczek). Przez kilka pierwszych dni obserwowaliśmy, czy koniki się nie zagubią, ale dały radę.

Póki nie znaleźliśmy odpowiednich siatek na siano (małe oczka, mocny sznurek, dobra cena), zadawaliśmy siano w postaci „gubionych” z taczki wiechci siana - żeby koniki chodziły. W końcu siatki dotarły (oczko 3,5 cm) - najpierw cztery. Przez pierwszych kilka dni emanacja końskiego niezadowolenia (łagodnie mówiąc) z powodu utrudnień w pobieraniu paszy - była wręcz fizycznie odczuwalna.

W chwili obecnej w różnych miejscach wisi osiem siatek, oprócz tego konie mają do wizytowania wiatę, poidło, lizawki oraz sezonowo

(i w odpowiedniej ilości) rozrzucać gałęzie z przycinanych drzew, jabłka, liście buraków, choinkę po świętach itd. W pobliżu wejścia jest wysypana przyczepka piasku, wykorzystywana przez konie do tarzania się.

Na noc w sezonie pastwiskowym konie są wprowadzane na wytyczone elektrycznym ogrodzeniem kwatery pastwiska. Od czasu do czasu wpuszczamy je na noc do wnętrza dużej pętli paddock paradise w celu wyjedzenia niedojedzonych resztek po świnkach, przygryzania dobrej trawy troszkę dłuższej niż na „rajskiej” części padoku oraz żeby raz na jakiś czas koniki miały inny porządek dnia. Od czasu do czasu umieszczamy zawieszane na drzewach siatki w innych miejscach lub rozrzucaamy np. trochę marchewki w różnych miejscach, aby konie miały impuls do sprawdzania trasy (czyli ruchu).

Co nam (a raczej konikom) dał do tej pory paddock paradise?

W zimie 2010/2011 z różnych przyczyn jeździliśmy niewiele i konik Myszon na samym sianie (mając do dyspozycji ww. 1 ha paddocku) zapasł się tak, że zaczęliśmy się bać, czy nie zapadnie na cukrzycę. Po zimie 2011/2012 spędzonej na paddock paradise zapasienia nie stwierdzono.

Od początku czerwca mamy jako pensjonariuszkę siwą małopolską SP Figę. Po pięciu miesiącach pobytu u nas (w nocy na pastwisku, w dzień na paddock paradise z sianem w siatkach i nieustannym skubaniem kilkucentymetrowej trawki) klacz zaokrągliła się nieco (co było wskazane) – bez dokarmiania specjalistyczną paszą. Co ważniejsze - skończyło się powierzchowne pęknięcie przedniej ściany kopyta!

Konie rzeczywiście chodzą dużo więcej niż na tradycyjnym paddocku, drzemią głównie w okolicach godz. 12–14 (jak w naturze na stepie). Konie nie stoją na oborniku, co jest dobre dla kopyt. Oczywiście jeżeli korzystają z wiaty (szerokość przedziału 210 – 250 cm) to ustawiają się przodem do wyjścia, więc trzeba usuwać odchody ze ściółki pod wiatą. Musimy też usuwać odchody z trasy paddock paradise - na razie gromadząc je pod pastuchem elektrycznym, co ogranicza wzrost traw pod ogrodzeniem na wiosnę. Pracy przy obsłudze koni jest jednak istotnie mniej niż przy utrzymaniu stajennym.

Konie mają możliwość relacji osobniczych, co jest ważne dla zwierząt stadnych. A obserwacje co się dzieje w „stadzie” dwóch koni, kiedy dołącza trzeci – bezcenne! W razie konfliktów zwierzęta mają więcej możliwości bycia razem, a jednak osobno.



Nie ma po co wsadzać konia do stajni bez bezwzględnej konieczności! Widać to było już przy wypuszczonych na okrągłą dobę ogierach. Te konie przez większą część doby znajdowały sobie zajęcie, zero nudy! Koniki, mając do dyspozycji wiatę, wchodzi do niej wyłącznie przy wietrze powyżej 7 st. w skali Beauforta oraz przy dużej aktywności gzów i innych owadów podczas upałów (w cieniu owady są mniej aktywne, a wiata ma brzegi wysmarowane jakimś Muchexem). Żaden upał (bez gzów), deszcz czy mróz nie wpędzi zaaklimatyzowanego konia do wiaty.

Konie przed jazdą są rozprężone, bo chodzą, a nie stoją w boksie. Po jeździe wiechcują się same, tarzając się w piasku.

Jeżeli nie mamy możliwości zapewnienia dużej ilości ruchu konikowi, paddock paradise daje jego niezbędne minimum. Najlepsze efekty żywieniowe (chudzielcy tyją, grubasy się nie tuczają) osiągamy przy wymuszeniu jak najczęstszego pobierania jak najmniejszych ilości paszy.

Poza jedną wizytą doktora w celu udroźnienia przewodów łzowych u Maxa bezpośrednio po kupnie konia, przez 3,5 roku nie było potrzeby wzywiania weta (odpukać). Może to odporność prymitywnych koników polskich, stawiałbym jednak na zdrowy tryb życia.

Agnieszka i Jacek Jeziorscy, Kraków



Paddock paradise w starym parku

Był czwarty października 2011 roku. Po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat ziemia otaczająca nasz dom zadudniła pod kopytami konia. Tego dnia Gacek miał do dyspozycji niepełne koło padoku, ponieważ może trochę zbyt ambitnie, postanowiłem od razu stworzyć solidne ogrodzenie zewnętrzne oraz wewnętrzne, co okazało się bardzo czasochłonne i kosztowne. Tak zaczęła się nasza przygoda, a plany i teoria, z jaką zetknąłem się w Stokrotce ożyły. Minęło jeszcze kilka tygodni zanim udało się zamknąć koło padoku. Wtedy już stadko, powiększone o dodatkowe trzy koniki, mogło bez przeszkód zrobić pełny obchód całego padoku, czyli około 700 m. Ścieżkę wytyczyliśmy wzdłuż granicy działki za domem. Wije się po mocno pochyłym zboczu jednego z wzniesień Wzgórz Lipowych nieopodal Strzelina. Urozmaica ją kilka stromych uskoków, na których konie ćwiczą podejście i zejście, a w porze deszczowej ślizg. Połowa padoku ukryta jest w cieniu starodrzewu, co w upalne i słoneczne dni daje im wytchnienie. Mamy też prawie płaski stumetrowy odcinek - położony nisko, ukryty za stromym wzniesieniem i zwrócony na południe. To idealne miejsce schronienia na wietrzne lub

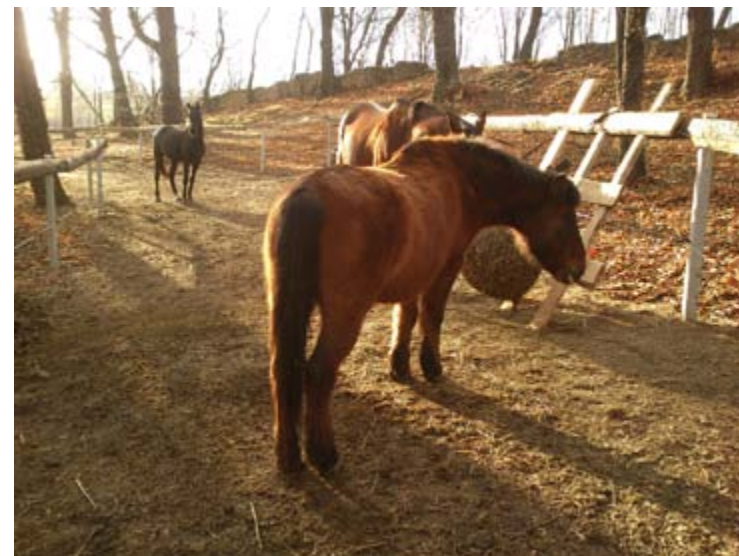


mroźne, choć słoneczne dni, ale nasze konie niezbyt je doceniają. Zdarza się, że podstępem zwabiamy je tam, by wypromować w ich świadomości ośrodek wypoczynkowy „Słoneczne zbocze”, ale rzadko ulegają naszym sugestiom. Wolą stronę północno-zachodnią, silny wiatr i wszelkie inne paskudne stany pogody. Nie raz mieliśmy wówczas wyrzuty sumienia i myśleliśmy o przytulnej ciepłej i suchej stajni, w której „na pewno byłoby im lepiej”. Nic podobnego. Jeśli na zewnątrz i w stajni są pełne siatki siana, to zawsze wybierają otwartą przestrzeń, nie zważając na kapryśną



aurę. Z własnych obserwacji, które prowadzimy już drugi rok, widzimy zmiany w psychice naszych podopiecznych, a były to konie stajenne jak znakomita większość hodowana przez ludzi. Przebywanie w stałym kontakcie, w stadzie, wyciszyło je pod każdym względem, a wariactwa spowodowane syndromem „O! Wolność” nie występują. Jednak należy pamiętać, że początki będą trudne. W naszym przypadku nie obyło się bez popodgryzanych zadków i otarć spowodowanych wywrotkami podczas panicznych ucieczek jednej ze stron. I tu bardzo ważna sprawa! W pierwszych dniach tworzenia się nowego stada, zapewnimy maksymalnie dużą przestrzeń otwartą, tak by konie miały swobodę poruszania się i możliwość zachowania dystansu. Ten etap jest nieunikniony i jego odkładanie

praktycznie nie wnosi żadnych zmian w przebieg pierwszych dni bezpośredniego kontaktu, do momentu ustalenia hierarchii w grupie.



„Paddock paradise”, nad którym cały czas pracujemy i usprawniamy, jest prawdziwym poligonem doświadczalnym, gdzie natura bezlitośnie weryfikuje nasze pomysły. Staramy się być jej przychylni i nie upieramy się przy racjach, których nie akceptuje. Tu mógłbym wiele pisać o sposobach rozmieszczenia i siatkowania siana, urozmaicenia i wytyczania szlaków, zaletach prawidłowego żywienia i zbawiennym wpływie permanentnego ruchu na kopyta i cały organizm konia. Ale te tematy porusza i rozwija Kuba. Natomiast ja i moje konie jesteśmy skromnym dowodem na słuszność tez i spostrzeżeń, o których pisze. Prowadzimy dokumentację zmian, jakie zachodzą u naszych podopiecznych, co bardzo ułatwia weryfikację rzeczywistych zmian, jakie zachodzą w czasie, a nie zawsze dają się zaobserwować bez materiału porównawczego. Mamy tu sześciolatniego Gacusia, który, oprócz krótkiego epizodu konia stajennego, całe życie spędził na łąkach w ruchu nieskrępowanym podkową, co



pięknie obrazuje dobry stan jego kopyt. Jest też hucul Misiek – 24-letni wrażliwiec pokarmowy, dla którego nawet niewielka nadwyżka energii w pokarmie (owies) kończyła się ochwatem. Na szczęście wiemy o tym tylko z relacji. Zapewnienie stałego dostępu do paszy objętościowej, wzbogaconej o niskoenergetyczny suplement diety nie spowodowało nigdy podobnych objawów. Z kolei Baszki, weteran sportu, koń stajenny i kuty trafił do nas z przerośniętymi kopytami, w których flary, pionowe długie pęknięcia hamowane poprzecznymi nacięciami i śladowe ilości strzałki stały się wyzwaniem rehabilitacyjnym. W tym przypadku, po rozkuciu, umożliwieniu nieograniczonego ruchu, zapewnieniu prawidłowej diety, struganiu i pielęgnacji strzałki, już po ośmiu miesiącach flary i permanentne pęknięcie pionowe puszek kopytowej oglądamy tylko na zdjęciach. Cały czas trwa odbudowywanie strzałki, ale to są zaszłości, których prawdopodobnie już nigdy nie da się w pełni cofnąć. I nasza ostatnia bidula: Ola, ze sztorcowatym kopytem jako wadą genetyczną (twierdził właściciel) lub ludzkim zaniedbaniem (moje skromne zdanie), co prawdopodobnie w wyniku wieloletniego utrwalania doprowadziło do nieodwracalnych zwyrodnień, a co za tym idzie, permanentnych aseptycznych stanów zapalnych wewnątrz puszek kopytowej, że nie wspomnę

o ogólnym dramatycznym stanie kopyt i strzałek. W tym przypadku sukcesem było prawie całkowite wyeliminowanie stanów zapalnych poprzez delikatne korekty struganiem. Do tej pory kulawizna i wpływ ropy przez koronkę zdarzył się tylko raz, cztery miesiące temu i wydaje mi się, że był wynikiem mojego błędu. Zachęcony widoczną poprawą zbyt odważnie skorygowałem ukątownie kopyta, wciąż jeszcze mocno pionowego. Od tamtej pory, w tym konkretnym przypadku nie popadam w nadmierną euforię i stosuję bezpieczną metodę małych kroczków.

Poznawanie natury koni, tworzenie im optymalnych warunków życiowych, poszukiwanie nowych sposobów porozumienia i obcowanie z tymi wspaniałymi zwierzętami – to wszystko jest wspaniałą przygodą. Nas pochłonęło to do tego stopnia, że jazda wierzchem zeszła na dalszy plan, teraz radość czerpiemy z małych sukcesów rehabilitacyjnych, o których wspominałem, ze wspólnych spacerów po okolicznych lasach i nauki pracy bez wędzidła.

Piotr Sobocki, Stachów



Przypadek Muchomorka

Muchomor: wałach, obecnie 7-letni, kupiony jako 3-latek. Pochodzi z hodowli tabunowej. Nigdy nie kuty. Do maja 2012 trzymany tradycyjnie z drugim konikiem polskim: w dzień na pastwisku (duży obszar urodzajnej łąki - typowej mieszanki pastwiskowej), a w nocy w boksie.

Żywnienie: wiosna/lato - głównie pastwisko; w zimie - siano (dokarmiany suchym chlebem i jabłkami przez pacjentów)

Praca: hipoterapia i delikatna rekreacja, ogólnie aktywność fizyczna mało intensywna.

1 maja 2012 r. Muchomorek zaczął kuleć na prawą przednią nogę. Został wezwany kowal, który stwierdził, że koń pewnie się podbił i kuleje przez ropę w kopycie. Rozczyścił kopyta i kazał czekać aż ropa wyjdzie. Dwa dni później koń przestał zupełnie chodzić, nie był w stanie zrobić kroku. Wezwany weterynarz, niebędący specjalistą od koni, zalecił antybiotyk i poradził znaleźć innego kowala. Kilka dni później Muchomorka konsultował kolejny weterynarz, który zrobił zdjęcie rtg - podejrzewał ochwat, ale nie był pewien, nie wiedział, jaka może być przyczyna. Dzięki informacji o naturalnym werkowaniu uzyskanej od znajomej od około połowy maja koń jest werkowany przez Adę, która stwierdziła insulinooporność (bardzo wyraźne oznaki w wyglądzie konia i skrajna otyłość).



Wprowadzone zmiany:

- zupełny brak dostępu do świeżej trawy czyli padok paradise ze ścieżkami przebronowanymi w celu usunięcia trawy. Przygotowanie podstawowej wersji padoku zajęło niecały tydzień. Przebronowane ścieżki były gotowe dwa dni po pierwszej wizycie Ady, dzięki pomocy sąsiada, który dysponował odpowiednim sprzętem rolniczym. Kolejne 2-3 dni były potrzebne na dokupienie niezbędnych rzeczy tj. dodatkowych słupków i taśm do pastucha. Po tym jakieś 4 godziny pracy własnej i padok był właściwie gotowy. Początkowo konie miały do dyspozycji tylko dwie siatki z sianem, stopniowo w miarę możliwości dokładaliśmy kolejne (ulepszone) paśniki, dodatkowe lizawki, kamienie.

- 24 godziny/dobę na padoku

- żywienie - siano namaczane godzinę w wodzie, później już nie namaczane;

- wymuszenie ruchu (rozmieszczenie siana, wody, lizawek itp. w oddległych miejscach)

- zaopatrzenie konia w buty (przednie nogi)

- chłodzenie kopyt, masaż całego ciała (ręcznie i z wykorzystaniem wibrującego urządzenia do masażu dla ludzi)

- regularne werkowanie

- wprowadzenie trzeciego konika dla zwiększenia ruchu w stadzie



Jakie były efekty? Po zaopatrzeniu w buty koń zaczął swobodniej się poruszać; w połowie sierpnia wrócił do pracy w hipoterapii (początkowo w butach, tylko z małymi pacjentami - dziećmi do 3 roku życia), a od września pracował już bez butów. Obecnie nadal jest regularnie werkowany, żyje na padok paradise (całą dobę), swobodnie porusza się po każdej nawierzchni, także po kamieniach, zeszczupłał, pracuje w hipoterapii.



Przez pierwsze półtora roku od momentu kupienia Żwirka i Muchomorka stały one w dwóch stajniach o podobnych warunkach, były podobnie żywione (trawa, siano) i wykonywały podobną pracę (hipoterapia). Miały do dyspozycji stosunkowo nieduże, nie tak urodzajne pastwisko dla większej liczby koni. Zmieniło się to, gdy przeprowadziły się w Kotlinę Kłodzką: ogromna ilość trawy dla krów i tylko dwa konie. Muchomorek nigdy nie był specjalnie szczupły - może tylko w momencie kupna - ale też nigdy nie tył tak jak w Kotlinie. Nigdy wcześniej nie miał też zauważalnych objawów czy dolegliwości ze strony kopyt. Właściwie jedyne, co się zmieniło w jego trybie życia po przeprowadzce do Kotliny, to możliwość jedzenia pastwiska do oporu. Wtedy także zaczął tyć, więc musiało mieć to kluczowe znaczenie, chociaż długo zdawało się, że taki jego urok - „brzuchatego” konika polskiego i efekt mało intensywnej pracy. Na zakończenie tej historii trzeba zaznaczyć, że koniki były regularnie odwiedzane przez kowala i weterynarza i żaden z nich nigdy nie wspominał o dziwnym otłuszczeniu i potencjalnych problemach metabolicznych...

Karolina i Piotr Kornaś, Kotlinia Kłodzka